



Trzeci dzień w Ladakhu zaczął się dla nas wcześniej, bo Kumar postanowił nam pokazać Dolinę Nubry i Shyok. Musieliśmy więc przejechać około 150 kilometrów górkami, wąskimi drożkami i „zaliczyć” przełęcze sięgające ponad pięć tysięcy metrów nad poziomem morza. Na Khardung La - tej najwyższej - postanowiliśmy sobie zrobić zdjęcia i napić się ciepłej herbaty, ale ani herbata nie była zbyt ciepła, ani zdjęcia nie są z serii tych, na których wyglądamy najlepiej, bo... skostnieliśmy z zimna i oddechy nam się spłyły. Żołnierze indyjscy, którzy z racji bliskości Pakistanu mają tu w Ladakhu swoje bazy i strzegą newralgicznych punktów, byli też na tej przełęczy i nieskrywanym zdziwieniem przyglądali się naszym popisom przed obiektami, bo oni byli ubrani jak my zimą a my... na cebulkę, bez czapek, rękawiczek, no i w sandałach i... skarpetkach.

Do Doliny Nubry przyjechaliśmy późnym popołudniem, po drodze zatrzymując się w wiosce Panamik, która słynie z gorących źródeł. I rzeczywiście wypływające gdzieś spod skał strumyki, nad którymi unosiła się para, były cieplejsze od wody gotowanej na przełęczy, bardzo czyste i zachęcały do wyczerpania w nich nóg. A w Dolinie Shyok najpierw pojechaliśmy nie do hostelu, ale do gromady w Diskit a potem ... na spacer po wydmach. Nasza ekipa brodziła w piachu na własnych nogach, ale inni turyści, wdrapywali się na wielkie dwugarbne wielbłądy i małymi karawanami ruszali w stronę zachodzącego słońca. Może to i fajne, ale jeszcze fajniej było powyglądać się na piachu, słuchając krótkiego wykładu o nich Kumara i Kuby Mosia. Przeszliśmy barchanami kawał drogi, przebrnęliśmy przez rzekę i dotarliśmy do miejsca, z którego zabrały nas samochody i zawiozły do Hunder, gdzie był nasz hostel z wygodnymi pokojami i ogródkiem warzywnym, co sugerowało, że kolacje będą pyszne i takie były. A następnego dnia po śniadaniu pojechaliśmy w kierunku Turtuk, choć nie do samej wioski. Naszym celem było dojechać jak najbliżej granicy z Pakistanem, by zobaczyć imponujący lodowiec, który tam się znajduje. Próbowaliśmy, ale też za Turtuk zatrzymało nas wojsko indyjskie i przystojny oficer (nomen omen KUMAR) nie pozwolił dalej jechać. Więc my, elastyczni jak guma, wysiedliśmy z aut i poszliśmy w górę niewielkiego wzniesienia, na którym jak się okazało przycupnęła mała wioska Takshi. Domki jej mieszkańców były bardzo skromne, na wąskich drożkach pomiędzy nimi bawiły się umorusane dzieci i przemykali lokalsi, najczęściej z wielkimi kosztami zawieszonymi na ramionach jak plecaki. Szybko zorientowaliśmy się po co te kosze, bo na obrzeżach Takshi były gaje drzewek morelowych, których gałęzie uginały się od małych, żółto - pomarańczowych owoców. Do spróbowania nie trzeba było nas zachęcać. Rwaliśmy przesłodkie morelki prosto z drzew i częstowały nas nimi panie, które wypełniły nimi kosze. Obżarci jak bąki i z kieszeniami pełnymi owoców podziwialiśmy też widoki rozpościerające przed nami, a na kolejne punkty widokowe prowadził nas dziadek - mieszkaniec Takshi, który pomimo ponad 80 lat dreptał po kamieniach coraz wyżej jak kozica. A propos kóz... bohaterem dnia stał się malutki czarny i włochaty jak yeti koziołek, który niestety niechętnie pozował do zdjęć i meczał rozpaczliwie kiedy stawialiśmy na jego drodze z aparatami fotograficznymi. Zyskał też w minutę trzy imiona - według mnie wyglądał na Stefana, zdaniem Patrycji Charkot pasowało do niego imię Jacky, a Filip Mierzwiński upierał się, że to Devil i biorąc pod uwagę kolor sierściucha - chyba miał rację. Do Hunder wróciliśmy na kolację. Wykroiliśmy też godzinkę na prezentację referatów na temat... przygotowanych przez wyprawowiczów, a rano następnego dnia, poszliśmy jeszcze na niewysoką gompę, by zrobić kilka fotek i popracować nad kondycją przed kilkukodzinową podróżą z powrotem z Leh.